



HISTORIA SANDRY KORZENIAK

Ze światła, z ciemności

Na scenie powołuję do życia istoty. Użyczam im mojego ciała, wrażliwości. Bardzo cierpię, kiedy umierają
– rozmowa z **SANDRĄ KORZENIAK**, aktorką niezwykłą

TEKST DAWID KARPIUK

Psychoterapeutka mi kiedyś powiedziała, żebym się któregoś dnia obudziła i wyobraziła sobie, że nie mam przeszłości. Jakbym miała amnezję, była czystą kartką. I żebym sobie wyobraziła moją historię, stworzyła swoje życie na nowo. Że jestem ze wspaniałego domu, mam wspaniałych rodziców. I żebym tę piękną historię opowiadała ludziom.

– Próbowałaś?

– Próbowałam. Ale mi to kompletnie nie wychodziło.

ISTOTY

SĄ KRUCHE I PIĘKNE. PRZYCHODZĄ NIE WIADOMO SKĄD, zjawiają się i powodują, że chce się płakać. Ze szczęścia i z troski jednocześnie. Że przyszły. I że trzeba się nimi tak bardzo opiekować. Marilyn ze spektaklu „Persona” w reżyserii Krystiana Lupy. Edie Sedgwick z „Factory 2”. Mabel z „Pod presją” Mai Kleczewskiej, Medea, Małgorzata i wiele innych.

– Wiesz, to jest wielki strach, lęk. Bardzo ciężka praca, stwarzasz na scenie inny świat. Stwarzasz tę istotę, zanurzasz się w niej, wchodzisz w jej emocje, w jej samotność, ból, lęk, marzenia, nadzieje.

– Jakbym cię zapytał: po co ci teatr? Po co aktorstwo?

– Ludzie przychodzą na świat z różnymi talentami. Mój jest taki, że potrafię na scenie stwarzać istoty. Użyczam im siebie, mojego ciała, wrażliwości, głosu. Grałam ostatnio po półtorarocznej przerwie Medeę. „Jak bardzo się przez ten czas zmieniłaś” – pomyślałam w którymś momencie. To było coś wspaniałego. Ja mam do tych istot często ambiwalentny stosunek, kocham je, choć zdarza się, że ich nienawidzę, ale cierpię z nimi, kocham, marzę. Mam z nimi bardzo szczególną relację. Jestem osobą, która doświadcza bardzo silnych emocji. Na scenie mogę je doprowadzić do ekstremów, ale jednocześnie niemal całkowicie nad nimi panować.

– Tęsknisz za nimi potem? Za tymi istotami.

– Bardzo. One we mnie zostają na długo, ale mogą żyć tylko na scenie, tylko kiedy są grane. A potem, kiedy spektakl jest zdejmowany, znikają. Jakby umierały. A więc powołujesz do życia coś, kogoś, nie wiem jak to nazwać, kto jest dla ciebie tak strasznie drogi, dajesz mu kawałek swojego serca, nie pożyczasz, tylko dajesz, i się tak bardzo boisz, żeby nie umarł. Choć wiesz, że przecież musi.

MATKA

JEST PIĘKNA. JEST PRZEBOJOWA. JEST BOGATA. Jeździ samochodem po Krakowie dwieście na godzinę. Marzy o wielkich rzeczach. Nosi futro z lisów, a potem z szynszyli. Wszyscy się za nią oglądają, i mężczyźni, i kobiety. Jest czarownicą i marzycielką jednocześnie. Jest cudowna i przerażająca. Jest najlepsza, jest najokropniejsza.

Nigdy ich nie broni, ani Sandry, ani jej starszej o trzy lata siostry. Używa metalowej końcówki od smyczy, używa trzepaczki i rakiety tenisowej. Wylewa gorącą zupę na głowę. Bije po twarzy. Zawsze kochała nosić biżuterię na palcach.

– Miałam cztery lata, a moja siostra siedem, kiedy mama zniknęła. Przez ponad rok jej nie było. Podobno byłam jej ukochaną córeczką. Podobno była dla mnie cudna, kiedy się urodziłam. Ale zniknęła. Wyjechała do Wiednia i postanowiła tam zostać. Do wszystkich przedszkolank mówiałam wtedy: mamo, mamusiu. Zwłaszcza do takiej jednej, miłej bardzo, o ciemnych włosach. A jak kiedyś w nocy do łazienki w naszym mieszkaniu weszła naga kobieta, to pomyślałam, że to mama, mama, mama.

W końcu mama wraca. Pewnej nocy staje w drzwiach, Sandra się na nią

rzuca, wszczepia w nią. Obok mamy stoi góra prezentów, do sufitu.

– Była z ciebie dumna?

– Nigdy mnie nie widziała na scenie.

– Dlaczego?

– Jak byłam na pierwszym roku studiów, spakowała walizkę i wyjechała do Ameryki.

– Poczułaś, że cię zostawia?

– Ale nie dosłownie. Nie mieszkałam w domu, odkąd skończyłam 16 lat. Wyprowadziłam się, żeby ratować życie. Kiedy miałam sześć lat, zostawiła ojca dla nowego partnera. Był krakowskim cinkciarzem. Bił ją, mnie i moją siostrę.

– Wybaczyłaś jej, że pozwałała na to wszystko, a na końcu uciekła.

– Nie. Długo się z tym biłam. Wyjechała, zostawiając mnie z bardzo dużym długiem. Ledwie odebrałam pierwszy dowód osobisty, dała mi dokumenty do podpisania. A ja, głupia, podpisałam. Potem się okazało, że uczyniła mnie swoją współniczką. Prowadziła w Krakowie butik, interes padł, a ona została z długami. To znaczy ja zostałam, bo ona uciekła.

– Jak się poczułaś?

– Że moje życie jest przeklęte. Nie mogłam się uczyć, miałam nieustanne kłopoty, byłam w jakimś obłądnie. Od tamtej pory, jak ktoś mnie pytał, czy mam mamę, to mówiłam, że moja mama nie żyje.

KRYSTIAN

„WYBITNA” – MÓWILI PROFESOROWIE NA STUDIACH. Nie wszyscy, byli też tacy, którzy Sandry nie znosili. „Zbyt łatwo jej to przychodzi”. Ale ci, na których zdaniu Sandrze zależało, byli nią zachwyceni. „Jedna na pokolenie” – mówili. Jan Peszek, Krzysztof Globisz, Anna Dymna, Krystian Lupa, Agnieszka Mandat, Jerzy Trela. Wybronił ją, kiedy tuż przed dyplomem wyrzucano ją z krakowskiej Akademii Teatralnej. U Peszka i Lupy zagrała dwie główne role dyplomowe.

Lupa był wtedy w jednym z najważniejszych momentów swojego życia. Jak kiedyś Tadeusz Kantor, porzucił klasyków, szukał nowego języka. Korzeniak została jego muzą. Zrobili razem m.in. „Mistrza i Małgorzatę”, „Factory 2”, „Zaratustrę”, „Personę. Marilyn”. W 2010 r. za tę ostatnią Korzeniak dostała m.in. Paszport

„Polityki”. „Kreacja, która na nowo ustanawia kategorie aktorskiej prawdy i fałszu” – pisano w uzasadnieniu.

– Dziewczyna z twoją historią trafia do Lupy. Był pewnie zafascynowany?

– Tak. To była obustronna fascynacja. Ja byłam zakochana, naiwnym, gówniarskim zakochaniem. To była ogromna przygoda. W sensie artystycznym, ale też w sensie uznania. Wiesz, dla mnie to, że ktoś taki jak Lupa w ogóle mnie zauważył, to było coś niesamowitego. Poczułam się...

– Wystarczająca?

– Tak. Dzieci czasem robią takie rzeczy, wykonują taniec, żeby poczuć, że są ko-

” *Jestem osobą, która doświadcza bardzo silnych emocji. Na scenie mogę je doprowadzić do ekstremów, ale jednocześnie niemal całkowicie nad nimi panować*

chane, że do kogoś przynależą. Chciałam być czyjaś. Nikt mnie nie przygotował do zwykłego samodzielnego życia. Przecież o mało co wylaliby mnie ze studiów.

– Może chciałaś sobie to sama zepsuć? Te studia?

– Możliwe. Ja coś tworzę i zaraz chcę to zniszczyć. Krystian zawsze mówił, że to we mnie uwielbia. Że to takie ciekawe. Jak ty ciekawie cierpisz! Jak ty się pięknie boisz! Możesz to przypłacać życiem, ale Krystian nie operuje w takich kategoriach. On jest w podróży. Wiesz, on jest moim wielkim szczęściem, fartem. To, że go poznałam, przy mojej historii życiowej, wrażliwości. Ja byłam dziwolągiem.

– Kiedy dostajesz nagrody, kiedy mówią, że jesteś wybitna, jak te słowa przyjmujesz?

– Kiedyś to było zupełnie nie do przyjęcia. Latami o sobie mówiłam, że jestem gównem. „Gówno, gówno!”, powtarzałam. Jak mantrę. Teraz już nie mam dostępu do tej dziewczyny, tej młodej kobiety, która tak o sobie myślała i mówiła.

– Czemu tak myślałaś?

– Może lepiej już myśleć o sobie źle, bo to się staje zbroją. Jestem gównem – to hasło ma mnie chronić. Trzaskanie po twarzy, bicie, kopanie, łamanie psychiki, odbieranie jakiegokolwiek sprawczości, godności. Jestem nikim – taka myśl chroni.

– Kiedy ostatni raz grałaś Marilyn?

– W 2017 r.

– Kochałaś ją?

– Bardzo. Pewnego razu zadzwonił do mnie Piotrek Skiba, to było chwilę po śmierci Władka Kowalskiego, i mówi: „No, chyba sobie nie wyobrażasz, że będziemy grać Marilyn bez Władka”. „Może można by znaleźć zastępstwo?”. „Nie”.

OJCIEC

JEST PIĘKNY. MA GĘSTE, KRUCZOCZARNE WŁOSY, GRUBE BRWI I ŚNIADĄ CERĘ. Wygląda jak Hiszpan, mówią w Krakowie. Albo – o Jezusie, zachwycają się kobiety – jak prawdziwy Włoch. „Narysuj diabła” – mówi kiedyś babcia. Sandra rysuje tatę. Bo jak miał atak furii, to się zmieniał w diabła.

Bił w dziwny sposób. Wykręcał ręce, dusił. To mama go napuszczała: „Przyłóż jej! Przywał, zrób coś!”. Jakby mu kazała udowodniać swoją męskość. Potem mówiła, że to dlatego go zostawiła. Bo miał problemy. Z byciem prawdziwym mężczyzną.

– On wtedy dostawał takiego szału, że myślałam, że mnie rozszarpie. Zaczynałam płakać, a ten płacz się przeradzał w odcięcie. Próbowalam łapać powietrze haustami, ale nie mogłam. Coś się strasznie dzieje w domu, matka mnie kładła jak tarczę, osłaniała się mną przed ojcem, potem przed swoim partnerem. Jak on zrywał deskę od boazerii, żeby ją zatłuc. Jak broniłam, to i mnie się obrywało. Dziecko jest mimo wszystko gotowe bronić matki, bo jest przerażone, że ta matka za chwilę zginie. Dziecko ryzykuje

własne życie, mimo że jest małe, kruche. Ono walczy o matkę, bo też walczy o swoje życie. Jak zaczynałam płakać z rozpacz, bezradności, to mnie odcinało. Dusisz się, odcina ci oddech, tylko rękami machasz. Jakbyś wołał o pomoc. I wtedy osunięcie na ziemię. Nie mogę się z tego wydobyć. Jakby śmierć pod wodą.

MARIAN

UMARŁ NA RAKA W ZESZŁYM TYGODNIU. PARTNER MATKI. Do końca wyglądał jak pirat, przemykał ulicami Krakowa z kolczykami w uszach. „Wiesz, trochę narozrabiąłem” – powiedział przez telefon niedługo przed śmiercią. „Nie będę łożył na cudze bękarty” – syczał kiedyś. I bił. Wszystkich. Mamę i dzieci. Dzieci najbardziej.

Mama odeszła do Mariana od taty, niszcząc go tym kompletnie. W sądzie kłamała, że jest nędzarką.

– Badał mnie psycholog sądowy, ale wcześniej byłam przeszkolona przez mamę i babcię, co mam mówić.

Ojciec przychodził do mieszkania babci przed rozwodem. Mama chowała futra, a babcia dawała Sandrze do ręki kartkę z napisem „Furiat”. „Jak zapuka do drzwi, to stań z tą kartką w przedpokoju i powiedz tacie, że nie chcesz go widzieć” – instruowała.

– Ojciec potem wył z rozpacz. Chciał się zabić. Nigdy mi tego nie wybaczył, że jako sześciolatka wstawiłam się za matką.

KRÓLOWA

– **MAŁO OSTATNIO GRASZ.** DLACZEGO?

– Nie wiem. Nie jest tak, że całkiem nie pracuję. Gram w farsie u Krystyny Jandy, gram też Królową Śniegu w teatrze Capitol. Ale nie jestem na stałe w żadnym teatrze. Nie dostaję propozycji, z którymi byłam kojarzona. Wiesz, ról dramatycznych, tragicznych, z flaków. Szukam pracy w serialach, ale bez powodzenia. Zagrałam kilka epizodów. Jedna, dwie, trzy sceny. Jeden dzień zdjęciowy, czasem dwa.

– Mówią, że jesteś za wybitna.

– Przecież to absurdalne. W znanym teatrze, bardzo pięknym, powiedziano mi: „Ty się chyba nie nadajesz na etatową aktorkę”. Wiesz, to jest też praca. Mam

córkę, musimy mieć z czego żyć. A ja mam nagrody, sporo sukcesów i bardzo dobrze się sprawdzam w zespole, w pracy z innymi. Umiem dużo dać, zresztą teatr to jest praca z ludźmi.

– Aktorki w Narodowym mówią, że oboje tylko się nie stoczyć tak, żeby przelecieć na drugą stronę parku Saskiego do Capitolu – mówi na jakiejś imprezie znana aktorka z telewizji.

W Capitolu Korzeniak gra główną rolę w „Królowej Śniegu” według baśni Andersena. „Czy tam jest aktorskie mięso?” – pyta samą siebie. „Czy to jest tylko figura?”

„Bił w dziwny sposób. Wykręcał ręce, dusił. To mama go napuszczała: „Przyłóż jej! Przywal, zrób coś!”

– Udało nam się ją ożywić. Andersen, kiedy to pisał, miał romans ze śpiewaczką operową. Był bardzo młody, złamała mu serce. Wielka diwa podobno.

– Kim jest Królowa Śniegu?

– Kobieta, dziewczynką, może staruszką? Doświadcza jakiejś potwornej pustki, samotności, pragnie bliskości. Ma dar zamieniania wszystkiego w śnieg. Z powodu tego daru została porzucona, oszukana. Ile tu jest znaczeń. Zostaje sama w tej krainie. Zwierzęta ukochały ją tak bardzo, że uczyniły swoją królową. Ale ona w tym świecie zamarzła. Znajduje chłopca i liczy na to, że już nie będzie samotna, że obdaruje go wszystkim, co ma, i że to wystarczy. Ale to się nie spełnia. To jest iluzja. Ona żyje w świecie iluzji, złudzeń, powoli się zapada. Okazało się, że ja, aktorka, mam tam coś poważnego do zrobienia. Królowej można się bać, dzieci się boją, ale ona też fascynuje. Powiem ci coś o tym moim zawodzie. Ja jako aktorka czuję się czarodziejką, czarownicą, marzycielką, stwarzam świa-

ty, wyczarowuję je. Okazuje się, że to jest możliwe. Chociaż na chwilę.

– I one są piękniejsze niż ten tutaj?

– Czasem myślę, że tak. Jak ją grałam pierwszy raz, drugi, to się popłakałam. Jezus, tam jest jeden szum i hałas! Gadają, papierkami szeleszczą. Pomyślałam, że nic, co robię, nie ma znaczenia. A po dwóch, trzech spektaklach zaczęłam to uwielbiać. Tę nieobliczalność dziecięcej publiczności. Ta bajka mnie uratowała, dzięki niej przez parę miesięcy miałam z czego żyć. Ale też otworzyła mnie na coś innego, nowego.

SA RÓŻNE ŚWIATY

– **DLACZEGO** W TEATRZE ŚLĄSKIM ZDJĘTO SPEKTAKL „POD PRESJĄ”? To był wielki sukces, nagrody, frekwencja.

– Nie wiem. Nigdy mi nie powiedziano. Próbowalam pytać, że przecież publiczność się tego spektaklu domaga, ludzie wychodzili zachwyceni. Pomyślałam wtedy, że to koniec. Nie mam gdzie grać. Wypłuli mnie. Co ja teraz będę robić?

– I wtedy pojawiła się „Królowa Śniegu”?

– Tak. A dzięki niej zobaczyłam, że umiem robić inne rzeczy. Nie muszę być tylko w świecie Lupy, Kleczewskiej, że potrafię grać także inaczej. I że to nie jest tak, że skoro nie gram już u Krystiana, to koniec, nie ma mnie. Latami nazywano mnie aktorką Lupy. Z jednej strony cię to wynosi. Z drugiej – jest wielu ludzi, dla których to znaczyło, że muszę być trudna, może destrukcyjna. Zawsze to czułam. Jedni cię za tego Lupę kochają, inni przed tobą uciekają. Przez ostatnie dwa lata czułam się jak trędowata. Wiele drzwi się zamknęło, jakbym coś komuś zrobiła. Ale nie wiem co. I wtedy, nagle, pojawiła się Krystyna Janda. Ogromnie ważne dla mnie spotkanie. „Pani Sandro, mam taką i taką propozycję, rola w farsie. Czy pani by chciała zagrać”. „Ale ja nie wiem, czy potrafię”. „Potrafi pani”. Współpraca z Jandą, „Królowa Śniegu” – to jest wielka lekcja. Niesamowita lekcja od życia.

– Jaka?

– Że istnieją różne światy. I że one potrafią być bardzo piękne. ■

dawid.karpiuk@newsweek.pl